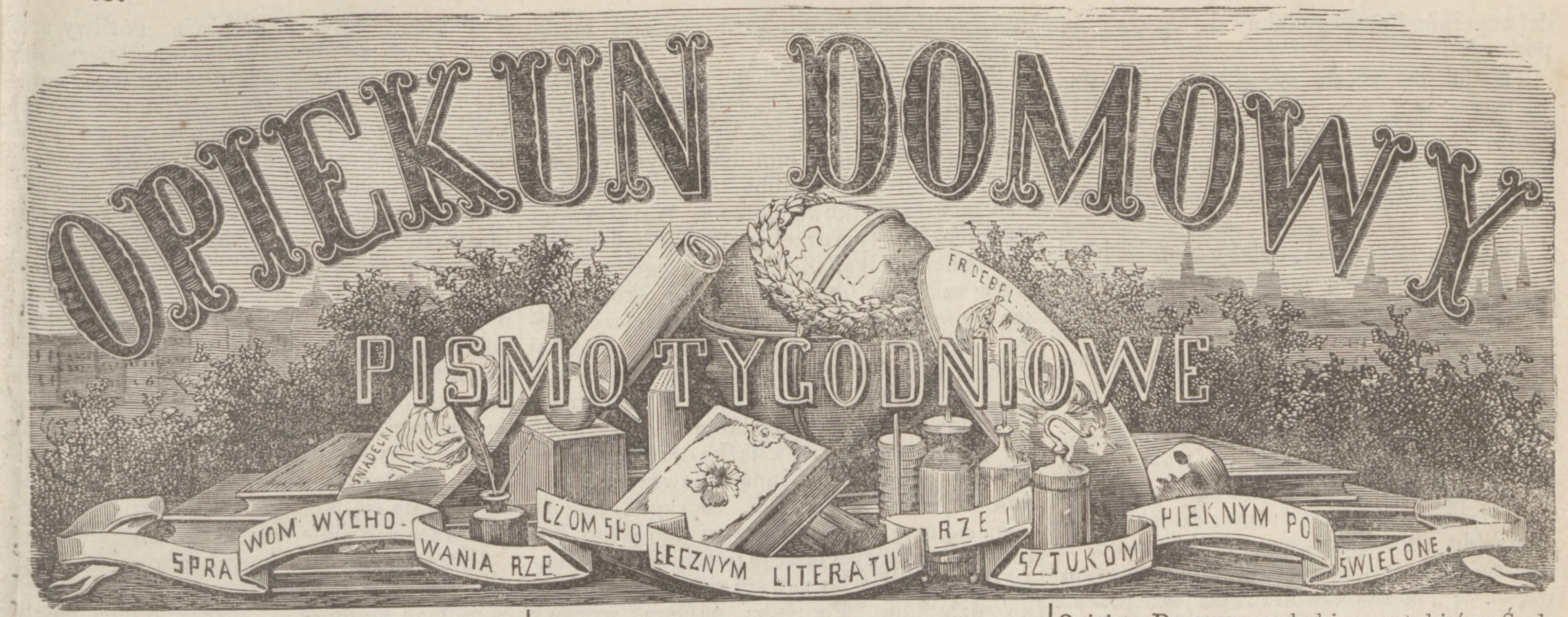
Nr. 2. Warszawa dnia 27 Grudnia / 8 Stycznia 1872/3 roku. ROK IX. Seryja 3-cia.



CENA PRENUMERATY
łącznie z 12-tu tomami bezpłatnego dodatku:

w Warszawie z odnoszeniem do domu:	na prowincyi w Cesarstwie i Królest.:
rocznie .... rs. 3 kop. 60	rocznie .... rs. 5
półrocznie ...... rs. 1 „ 80	półrocznie...... „ 2 kop. 50
kwartalnie...... „ 90	
miesięcznie..... „ 30	w Austryi rocznie 9 guldenów
	w Prusach „ 5 talarów

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 30 (NOWY).

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa.

Skład Główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w Redakcyi przy ulicy Nowy Świat Nr. 30 nowy; w *Poznaniu* u Czapińskiego, (daw. księg. Rychtera); we *Lwowie* u Wilda Karola; w *Żytomierzu* u Budkiewicza księgarza; *w Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego.

Numer pojedyńczy kop. 10.

JESZCZE SŁÓWKO O SENTYMENTALNOŚCI KOBIET.

Artykuł „Jedno z ważniejszych", w 49 Nr. Opiekuna umieszczony, zwrócił zapewne uwagę wielu czytelniczek. Nie jedna matka dorosłych córek musiała uderzyć się w piersi, choć w duchu przed samą sobą przyznając się do winy; — nie jedna kobieta, której młość smutno się kończy, musiała wyrzec z westchnieniem: prawda, lepiej byłoby nie marzyć. Bo tego faktu, że złe jest, że kobiety teraz rzadko są szczęśliwe, że w młodości cierpią wiele, a później nie osiągają ani połowy tego szczęścia, o jakim marzyły — tego smutnego faktu nikt, zdaje się, z patrzących uważniej zaprzeczyć nie może. Że powodem tego jest po części tak zwana przez autora artykułu *sentymentalność*, to także pewna. Ale wśród tego zamętu wyobrażeń i pojęć, jakie dziś przy szybkim postępie w nie jednej głowie powstaje, wartoby porozumieć się dobrze, co to jest właściwie ta *sentymentalność* i czym szczególnie różni się od tego, co prawdziwym uczuciem zwykliśmy nazywać, a co jak autor sam powiada, jest skarbem i źródłem szczęścia dla kobiety. Bo zdarza się i to teraz słyszeć, jak sentymentalnością pogardliwie nazywają uczucia objawiane dla starych rodziców, łzę litości nad nędzą ludzką, rozrzewnienie wywołane opowiadaniem pięknego czynu. Takie łzy, takie objawy, z sentymentalności pochodzić nie mogą: takie, jeśli tylko szczere, są zawsze płodne, bo z nich wykwitają prędzej czy później czyny chwalebne. Ale czym innym zupełnie, zdaje mi się, jest ta czułość i chorobliwość bezpłodna, której jedynie miano *sentymentalności* chciałabym przypisać. Jestto *czułość egoistyczna*, jestto *marzycielstwo* o szczęściu własnym, a głównie o szczęściu miłości z pochodzącym.

Wprawdzie każda ludzka istota ma prawo dążyć do szczęścia i starać się o nie dla siebie, — szczęście zaś: „być kochaną i kochać wzajemnie" jest zapewne o wiele wyższym od innych rodzajów szczęścia, jak np. zadowolnienie próżności, zbieranie pieniędzy dla samolubnego tylko użycia i t. p. Trudno więc mieć bardzo za złe kobietom, że po większéj części tamten rodzaj szczęścia sobie obrawszy, dążą do niego i o nim marzą. Ale przy téj dążności rozsądek też powinien oświecać drogę, czy rzeczywiście na końcu jej jest szczęście i czy droga dobrze do niego obrana? Znałam wiele młodych osób, które o takim szczęściu marzyły. Kilkanaście lat upłynęło, i cóż im pozostało? Jedna z nich doznała zawodu w uczuciach swoich, i raz zraniona, wyrzekła się szczęścia dla siebie.... Druga, po stracie narzeczonego, podobnież przestała myśleć o ziemskim szczęściu. Trzecia, zanadto idealna w marzeniach, nie znalazła w poczciwym mężu urzeczywistnienia swoich ideałów i w wiecznéj pozostaje kłótni z rzeczywistością. Czwarta, pomyliwszy się w wyborze, straciła wiarę w prawdziwość ludzkich uczuć i podejrzliwą jest względem tych, co ją istotnie kochają. Ta niedość powabna, aby się podobać i dojść do celu marzeń, znienawidziła przez zazdrość całą płeć swoję i z kobiety dobréj, jaką być mogła, stała się nieznośną istotą. Tamta kochała i była kochaną, ale brak środków materyjalnych, brak uzdolnienia do pozyskania ich, okoliczności wreszcie, przeszkadzały połączeniu; czekało się lata całe, a potem biédna kobieta! zestarzała i zwiędła nie chciała się już narzucać temu, co ją młodą i piękną pokochał. Inna, czekała podobnież, a tymczasem bogaty związek złudził narzeczonego. Inna jeszcze, czekała także, ale trafił się majętny choć nie kochany i nie podołała nic przeciw natarczywemu oblężeniu rodziców i krewnych; poszła za mąż bez serca... I trudno czasem rzucić kamieniem na te biédne zawiedzione marzycielki, bo trzebaby wprzód poznać szczegółową historyją tych serc, co z zawodu w zawód przechodząc, za każdą razą tracą coś z pierwotnego swego ciepła i czystości, a nie raz na końcu w głaz się przeistaczają, podobnie jak materyjał surowy po przejściu przez rozmaite procesa fabryczne, w końcu wycho-

ŚLADY ŻYCIA.

I.

Tyle życia, ile.... w c z y n i e.

W końcu roku zeszłego jeden z naszych prenumeratorów p. J. N. z Brześcia nadesłał w sprawie rozwoju oświaty następujący projekt: Wiadomo, że w każdéj gałęzi wiedzy brakuje nam specyjalistów, co głównie przypisać należy brakowi środków do wyższego kształcenia się; jednym z tych środków jest wysyłanie za granicę młodzieży kończącej uniwersytet w kraju, lecz na to potrzeba funduszów, których nie ma. Czyby więc nie było praktycznie (mówi p. J. N.) aby każde z pism postarało się o przygotowanie specyjalistów w tym kierunku w jakim ono samo pracuje? I gdyby na ten cel każdy prenumerator jakiegoś pisma poświęcił kilka rubli jednorazowo, czy tym sposobem nie zebrałyby się fundusze od których procent wystarczyłby na wysłanie za granicę kilku ludzi młodych dla dalszego kształcenia się w obranych przez siebie naukach.

Opiekun Domowy (według p. J. N.) winienby w ten sposób dopomódz młodzieńcowi poświęcającemu się naukom społecznym, a mianowicie *Ekonomii Społecznej;* p. J. N. zaś dla poparcia czynem swego projektu nadesłał do naszej Redakcyi rs. *trzy*, kończąc swój list zdaniem: *„pomagajmy sobie, a Bóg nam dopomoże."*

Ten uczciwy i świetny projekt utworzenia *stypendendyjum czytelników pism peryjodycznych* zasługuje na uwagę prasy i publiczności, tym bowiem sposobem przyjaciele oświaty bez wielkiego uszczerbku swych funduszów mogą ogromne oddać jej usługi. My ze swej strony najzupełniéj zgadzając się na projekt p. J. N. od dnia dzisiejszego otwieramy składkę na *Stypendyjum Redakcyi i Czytelników Opiekuna Domowego.* Ze swéj strony Redakcyja przeznacza na ten cel Rs. 25.

* * *

Świat nie jest doskonałym: zapewne do końca pozostanie mieszaniną dobrego i złego, rozsądku i głupoty, z czego wynika, że nieraz na jednéj i téj saméj karcie przychodzi zapisywać obok dowodów miłości dla ogółu, dowód wstrętu do tego co nasze, obok projektu p. J. N., *poglądy* państwa *X.*

Co są za jedni ci państwo *X.* i jakie ich poglądy?

Państwo X. są to ludzie należący do *pewnej klasy*, do téj mianowicie, która niczego zapomnieć i niczego nauczyć się nie może. Państwo *X.* nie zapomnieli jeszcze francuzczyzny, któréj ich w dzieciństwie uczono, a nienauczyli się szanować społeczeństwa pośród którego żyją, ponieważ o téj stronie ich edukacyi zapomniano w dzieciństwie. Państwo *X.* czytają i prenumerują wiele pism obcych,

dzi zupełnie już niepodobny do tego, z czego powstał.

Oto jak na świecie ziszczają się młodociane marzenia..

A więc nie marzyć wcale? Nie myśleć o własnym szczęściu? Pracować tylko jak można, odbywać pewne określone czynności, jak automat?...

Podobna rada może byłaby równie idealną jak owe kobiece marzenia, bo człowiek żaden a zatym i kobieta, egoizmu pozbyć się zupełnie nie może. Kobiety zaś oprócz serca miękkiego, mają jeszcze żywą wyobraźnią, która potrzebuje pokarmu, zbyt są przyzwyczajone do marzycielstwa a zamało do surowéj, poważnéj i wytrwałéj pracy. Oprócz innych warunków, fizyczne ich wychowanie, potrzebowałoby koniecznie odmiany, aby im mocniejsze zdrowie zapewnić i do takiéj pracy zrobić sposobniejszemi. Sądzę więc, że nim się te wszystkie warunki odmienią; i nowe, może jeszcze na świat nie przyszłe pokolenie kobiet, stanie się silniejsze i lepiéj przygotowane do innego rodzaju życia; wzrastające teraz dziewczęta należałoby sposobić do tego stopniowo, i pozwolić im jeszcze marzyć trochę — ale marzyć o rzeczach dostępnych, o szczęściu możliwym.

Zwracam się do matek pojmujących potrzebę zaradzenia złemu. Wszakże kiedy dzieci nasze małe marzą o tym, żeby zostać królami lub królowemi, mieszkać w zaczarowanych pałacach, i t. p., tak łatwo wybijamy im z głowy te śmieszne pretensyje, tak prędko przekonać je zdołamy, że do podobnéj świetności praw rościć nie powinny. Dla czegóżby i dorastającym dziewczętom naszym nie można wskazać tego tylko szczęścia za cel, które z łatwością osiągnąć mogą. Widzieliśmy już, jak teraz dla rozmaitych przyczyn trudnym jest do osiągnięcia szczęście z miłości... Mówić im o szczęściu z nauki, z pracy, z poznawania natury, o zadowolnieniu moralnym z dobrych uczynków, to nie dosyć; nie zrozumieją dobrze tego szczęścia, póki same doznawać go nie zaczną. Ale właśnie dobrzeby je z nim obeznać sposobem praktycznym. Do tego wieleby dopomagało *wczesne obranie specyjalnego zajęcia*. Matka, np. kilku córek, nie zaniedbując ogólnego ich wykształcenia, niechby dla każdéj z nich obrała prawie od kolebki jakiś zawód szczegółowy;—to byłby *pokarm dla wyobraźni i serca* naprzód matki, a późniéj córki.

Jedna z córek ma być np. nauczycielką w szkółce ludowej. Choćby takiéj szkółki w danéj miejscowości nie było, zostaną zapewne zaprowadzone, nim dziewczynka dorośnie; — a zresztą podobne ukształcenie bardzo łatwo zużytkować można. Wzrasta więc dzieweczka w tym przekonaniu, że będzie kiedyś nauczycielką. Zaczyna od tego, że bawi się w szkółkę i uczy swoje lalki; skoro czytać się nauczyła, już im czyta i tłomaczy, czego przypuszczalnie nie rozumieją: późniéj trochę, w godzinach wolnych od własnéj nauki, uczy już córeczkę kucharki lub stróża pod okiem matki; już ją interesuje każdy nowy elementarz, każda książka dla dzieci, więcej niż jakąkolwiek inną dziewczynkę; nie dość że sama zrozumiała, co czyta, jeszcze stara się swéj uczennicy wszystko jasno i dobrze wytłómaczyć; idzie to postępowo, a w miarę przybywania lat zawsze rozszerza się kółko działania. Panienka nabiera wprawy w uczeniu, umie obchodzić się z dziećmi, znosić cierpliwie ich niepomiarkowaną czasem żywość a w pozyskaniu ich serc, w owocach swojéj pracy znajduje najmilszą nagrodę za trudy zawodu, który w większym czy ciaśniejszym kółku, jest i będzie zawsze zawodem każdéj kobiety.

Druga córka ma być doktorem czy też lekarką; to też ją matka używa najczęściéj do pomocy przy chorych w domu; ją szczególnie oznajmia z własnością ziół różnych; ona je późniéj sama zbiera, suszy, utrzymuje; ona gotuje rumianek, robi synopizma, maście przykłada; ona późniéj, z poświęceniem nieraz własnych zabaw, pilnuje chorych, bo to jéj fach, bo wie i marzy o tym, że po ukończeniu ogólnego ukształcenia, które ma być gruntem dla wszystkich specyjalności, rodzice pozwolą jéj i dopomogą odbyć obszerne studyja, co jéj nadadzą pewną wartość, pewne stanowisko w świecie.

Dla trzeciéj obiera się pewna gałąź gospodarstwa; tą przy naukach ogólnych, jakie dzieli z siostrami, powinna jeszcze wstawać rano, aby dopilnować krówki i nabiału; choćby na małéj ilości drobiu uczy się jak hodować, utrzymywać, karmić, jak wychowywać małe i zapobiegać chorobom kiedy nareszcie i pod jaką postacią kupować i sprzedawać nabiał i drób, aby przy koniecznych wydatkach otrzymać uczciwie możliwy procent. Jeżeli zaś obrała gałąź ogrodniczą i jest na czym rozwijać te zdolności, trzeba uważać, aby jéj zatrudnienia z postępem lat nie były samą tylko zabawką; aby jéj nie wyręczano w tym, czego sama dopilnować powinna i zaczynając od bardzo małego kawałka ziemi, aby coraz rozszerzała i ulepszała swoje państwo, zawsze z tą myślą, że to ma być głównym jéj zajęciem i sposobem do życia w przyszłości. Po ukończeniu edukacyi ogólnéj, rodzice powinni jéj dostarczyć sposobności pojechania na wieś i przypatrywania się, gdzie się trafi, wzorowym gospodarstwom, aby zaprowadzić ulepszenia u siebie.—Zamiast składać posagi dla swoich córek, lub ponosić ogromne wydatki na ich stroje i zabawy, rodzice powinniby starać się im dopomódz do urządzenia się w obranym zawodzie, aby mogły pracować mniej więcej niezależnie.

Ileżto jeszcze jest innych zawodów, pożytecznych, a bardzo dla kobiety odpowiednich! Sposobiąc się do nich, marząc o nich, mało pozostanie czasu na poetyczne rojenia o miłości i o małżeństwie, którego jednak nie wyrzecze się pewnie żadna kobieta, jeżeli jéj się trafi w pożądanych dla serca i rozsądku warunkach. Jeżeli zaś się trafi, to podjęte trudy i ukształcenie fachowe, nigdy straconemi być nie mogą. Owszem dopomogą do zawierania związków podług wyboru serca, bo kobieta uzdolniona mogąc w części na sobie polegać, nie będzie się oglądała w wyborze na majątek przyszłego męża. Jeżeli zaś się zdarzy, że majątek lub zyskowna praca męża uwolnią kobietę od zarobkowania, to i w takim razie uzdolniona nauczycielka będzie najlepszą mistrzynią dzieci własnych, lekarka weźmie w rozumną opiekę zdrowie całego domu, sług i włościan — gospodyni otworzy się właśnie obszerne pole działania.

Możnaby zrobić zarzut przeciw zbyt wczesnemu wybieraniu fachu dla dzieci przez rodziców, co może się sprzeciwiać wolnemu ich wyborowi i skłonności. Ale zdaje mi się naprzód: że w latach czterech, pięciu już mniéj więcej można zauważyć, skłonności i zdolności dziewczątka; powtóre przekonaną jestem, że skłonność do pewnego zajęcia nabiera się w miarę tego, jak się z tym zajęciem oswoimy, bo każde ma powabną swoję stronę; nakoniec, szczególnych zdolności nie tak wiele jest na świecie, a miernie zdolni

---

ponieważ to według ich opinii należy do *dobrego tonu*, a słaby ich umysł nie zna wyższych prawideł, ale państwo *X.* nie czytają i nie prenumerują pism krajowych, ponieważ te można *tylko w szynkowniach i przedpokojach czytywać*. O państwo *X!* kupcie choć elementarz dla swoich dzieci! Trafiają się bowiem przypadki że ludzie z salonu przechodzą do garderoby i przedpokoju, w dalszym zaś biegu życia skutkiem nieznajomości *lektury przedpokojowéj* zstępują do szynku a czasem i dalej.

* * *

Życiorysu największego poety naszego — Adama Mickiewicza—nie znamy jeszcze dotąd dokładnie. Wiele sprzeczności pozostaje do pogodzenia, wiele dat do ustalenia, wiele anegdot do usunięcia. W takim stanie rzeczy każdy nowy przyczynek powinien nas przejmować radością, każdy przyjmować musimy z należnym uznaniem. Z ciekawością więc wzięliśmy się do przeczytania artykułu, pomieszczonego w dwu ostatnich NN. Tygodnika Ilustrowanego z r. 1872, p. n.: *Wspomnienie o pobycie Adama Mickiewicza w Petersburgu.* Rzeczto wyjęta z „Ruskiego Archiwa.“ Autor, ukrywający się pod pseudonimem *Cyprynusa*, podaje się za człowieka wysoko położonego i wpływowego. Stosunki jego sięgały wysoko i szeroko. Miał być kolegą uniwersyteckim naszego wieszcza i był z nim na ty a ty. Wszystko to zjednywałoby wielką wiarogodność dla szczegółów, które podaje, tymbardziej że niektóre z nich znanym już skądinąd nie wchodzą w drogę;—gdyby nie jeden błąd rzeczywisty i gdyby nie jedna sprzeczność z innym świadectwem. Cyprynus pisze, że w r. 1828 Mickiewicz „w licznym towarzystwie“, w którym znajdowała się między innemi i Karolina Sobańska „wielka jego przyjaciółka“, odbył podróż do Krymu, „z któréj powstały owe cudowne Krymskie sonety.“ Wiadomo zaś ze źródeł urzędowych, niezbitych, że Mickiewicz zwiedził Krym w jesieni 1825 r. i że „Krymskie sonety“ wyszły w Moskwie 1826 r. Tu już żadnej wymówki być nie może. Cyprynus grubo się pomylił. A sprzeczność jest taka. Cyprynus twierdzi, że Mickiewicz zapoznał się z Puszkinem, największym poetą rosyjskim w Petersburgu r. 1828 w domu p. Sobańskiej, że nigdy przedtym go nie znał. Tymczasem *K. Polewoj* w czasopiśmie: „Żiwopisnaja ruskaja Biblijoteka“ z r. 1858 N. 10 utrzymuje, że Mickiewicz zapoznał się z Puszkinem w Moskwie w jesieni r. 1826 u brata jego Mikołaja Polewoja. (Tę ostatnią wiadomość czerpiemy z artykułu Benedykta Dołęgi, który pomieścimy wkrótce w „Opiekunie“). Po któréj stronie jest słuszność — trudno rozstrzygać, tymbardziéj, że co do poznania się jednego poety z drugim były jeszcze i inne przypuszczenia. To nas powinno ostrzegać, że wszelkie tego rodzaju wiadomości należy krytycznie oceniać, nie przywiązując do nich wiary bezwzględnéj. Dodamy jeszcze w kształcie objaśnienia, że wyrażenie podobne do tego, jakie miało się znajdować w liście Mickiewicza do Cyprynusa z Rzymu 1830 roku; t. j. że „Byron ze swoim Child-Haroldem był mu *zawalidrogą* na moście Tybru“; napotykamy w liście naszego poety do Franciszka Malewskiego: (z Rzymu 1829 w grudniu): „O Rzymie trudno pisać. Byron jak Horacyjusz Kokles wielkim krokiem most na Tybrze zajął.“

* * *

Pan Koziełło-Paklewski bogacz posiadający przeszło 20 milijonów rubli, ma około Czerwca r. b. osiedlić się stale w Warszawie, celem rozwinięcia tutaj działalności przemysłowéj. Oby słowo stało się ciałem!

* * *

Podobno mają być wzniesione dwa pomniki: jeden dla Jędrzeja Śniadeckiego w no-

ludzie do każdego rodzaju zajęcia przyzwyczaić się i zamiłować go mogą. Zresztą nic nie przeszkadza odmianie fachu, jeśliby do jednego szczególna niezdolność, do drugiego zaś osobliwsza chęć i zdatność się okazały— bo też w tym jak we wszystkim rozsądek także przy wykonaniu radzić powinien; a zbyt ściśle trzymanie małych dziewczątek przy jednym specyjalnym zajęciu byłoby pedanteryją, która we wszystkim jest szkodliwą i śmieszną.

F. K.

HRABINA ELODYJA.

Powieść
Maryi Szeligi.

(*Ciąg dalszy*).

Podniosła z dumą swoje błękitne źrenice i rzekła wpół z płaczem:

— Mama uczyła mię zawsze, że każde uniesienie jest strasznie *mauvais genre*—potym co zaszło — nie pojmuję, jak możesz do mnie przemawiać!...

— To właśnie dowód, że umiem nad sobą panować. — Dosyć tych nieporozumień!— Wiesz, że jestem gwałtowny.—Uniesienia są śmieszne—przyznaję—ale tragiczne wybuchy skarg i żalów jeszcze więcej śmiesznością trącą.—Więc daj rączkę i — drugą szklankę herbaty — śliczna Djolo! Całus na deser —i zgoda!

Ilekroć Władysław mówił w ten sposób— Elodyja ustępowała pokonana. Szyderczym dowcipem władał z nieporównaną zręcznością.—Podała mu herbatę, on palącemi ustami dotknął jej świeżych usteczek, i jakby przetworzony tym pocałunkiem, jakby zaczerpnął kroplę wody życia ze źródła ożywczego, mówił dalej spokojnie:

— W tym czasie będziemy wizytować niektóre domy, aby na balu naszym było liczne i świetne zebranie. Zapisałem ci stroje z Warszawy.

— Oh! to dobrze! — zawołała dziecinnie Elodyja.

— Dziś pojedziemy do Fredziów. Młoda pani jest bardzo dystyngowana i miła w towarzystwie.—Zbyt dobrze jesteś wychowaną, abyś nie wiedziała o prawach i wymaganiach etykiety, — jednak muszę ci zrobić uwagę: wszystkie te panie są cynicznie śmiałe, salonowe kokietki, płoche wietrznice — przynajmniej na pozór — bo częściej jestto tylko świąteczna szata, szczególniej u parafijanek, pragnących naśladować piękne Warszawianki, niż prawdziwe usposobienie. — Pamiętaj Djolo, że nie wolno ci ich naśladować!.. W największym towarzystwie żadne twoje słowo nie ujdzie mych uszu — więc mów tak, abyś nigdy nie pragnęła ukryć twych wyrazów.— Znam kobiéty — więc żadne wrażenie nie przejdzie dla mnie niepostrzeżone! — Proszę o tym pamiętać!...

— A tymczasem do widzenia! może pojedziesz konno? Michel będzie ci towarzyszył —jeśli chcesz książek, w każdym czasie idź z panną Bertel do biblijoteki;—młody *książe-biblijotekarz* będzie na twe usługi.

Pożegnał żonę czule—i wyszedł wolnym, pewnym krokiem, znów piękny, dumny i spokojny zupełnie.

— Chodźmy, panie Wiśniowiecki!—wymówił hrabia, stając na progu jego mieszkania.

Emanuel tylko co skończył wypakowanie swoich rzeczy,—i, wyjąwszy medalijon z fotografiją Beaty, wpatrywał się w obraz ukochanej. Na dźwięk głosu hrabiego żywo drogi przedmiot ukrył na piersiach i rzekł:

— Służę panu!

— Młody człowiek jest zakochany! — wybornie! — pomyślał hrabia zadowolniony z odkrycia.

Weszli do pięknej sali przeznaczonej na biblijotekę.

Kilkadziesiąt pak z książkami i rycinami, stało niewypakowanych. W przyległym gabinecie, było także dużo książek w nieładzie rozrzuconych po szafach.

— Tutaj, — rzekł hrabia, bądź pan łaskaw zgromadzić dzieła lekkiej zajmującej treści. Powieści francuskie, komedyje, i t. d.

Dumas fils—Ponson du Terrail – niech zajmą honorowe miejsca.. To będzie biblijoteka dla kobiét!

Emanuel się cofnął.

— Dla kobiét?...

— Tak! one to najwięcej lubią.

— Ależ panie hrabio! to najniezdrowszy pokarm duchowy...

— Cóż pan uważa za zdrowe? traktat filozoficzny?

— Wolałbym wszystko, bez wyboru między złem i dobrem: wierzę bowiem, iż można upodobać dobre, a złe potępić; — ale jednostronnie przyzwyczaić się do tego rodzaju literatury, to źle — dla nich i dla nas!..

— Powiedz mi pan—przerwał hrabia—za co uważasz kobiétę?

— Za istotę równą mężczyźnie — słabszą fizycznie, ale silniejszą moralnie.

— Ha! ha! ręczę panu! że dzicy uważając kobiétę na równi ze zwierzęciem są bliżsi prawdy pojęciem niż pan!

— Takie pojęcie okazuje tylko ich dzikość i brak wszelkich ludzkich uczuć!—Im więcej naród ucywilizowany, tym bardziej szanuje kobiétę.

— A czy ona zasługuje na ten szacunek?

— Zupełnie równe prawo ma do niego z mężczyzną! Zależy to od jej postępowania.

— Nie! kobiéta piękna i dobra może być aniołem, piękna i zła szatanem — brzydka i zepsuta, zwierzęciem—ale nigdy kobiéta nie jest człowiekiem!

— Kobiéta może posiadać wszystkie anielskie przymioty i szatańskie przywary—ale przedewszystkim nie przestaje być człowiekiem.

— Ah! pan pewno pochwala emancypacyją kobiét?

— Całą duszą! Kobiéta niéma woli, tylko upór —niéma serca tylko zmysły, nerwy. Zewnętrzne wrażenia odbijają się w jej duszy jak w zwierciadle; za błyskotką pobiegnie wszędzie, jeśli silna ręka nie trzyma jej na wodzy!

— A więc jeśli kobiéta nie jest człowiekiem — my jesteśmy synami zwierzęcia... O! panie hrabio! to bluźnierstwo!

— Nie znasz pan kobiét panie entuzyjasto!

— Jeśli są złe kobiety, jeśli są istoty próżne, nikczemne, podłe, — to wina wychowania, nasza wina—panie hrabio!—Kształcimy kobiéty na miłe cacka, na dobre klucznice,— rzadko na towarzyszki życia, na członków społeczności.—Ubóstwiamy je, lub rzucamy w przepaść błotnistą,—zamiast podać im rękę i iść wspólną drogą. — A jednak mimo strasznych błędów wychowania, porównajmy ilość zacnych kobiet, dobrych żon i matek— i takąż liczbę mężczyzn, głów rodziny—a niestety więcej piérwszych znajdzie się między kobiétami, niż szlachetnych, uczciwych mężów między temi, którzy mają zupełną swobodę losu we własnych rękach!

— Jesteś pan gorliwym kobiét obrońcą — masz zapał i wymowę, co daje twym słowom

---

wym lokalu Towarzystwa Lekarskiego, drugi dla Chopin'a na jednym z placów warszawskich.

* * *

Pan Zygmunt Węclewski b. prof. b. Szkoły Głównej objął katedrę filologii klasycznej w Uniwersytecie lwowskim—a p. Wład. Leppert Kand. Nauk Przyr. Uniw. Warsz. wezwany na posadę asystenta przy katedrze Chemii w Bernie (w Szwajcaryi) — objął już powierzone mu obowiązki.

* *

Zbiorowe wydanie dzieł ś. p. Wincentego Pola ma wyjść w Krakowie, a dochód z takowego przeznaczony będzie na rzecz rodziny zmarłego wieszcza.

* *

Popularne studyjum nad Kopernikiem, *P. Kowalczyka*, wydane staraniem Redakcyi „Przyrody i Przemysłu" i rozesłane bezpłatnie prenumeratorom tegoż pisma, zasługuje na bliższą uwagę. P. Kowalczyk (którego nazwisko dziwnym zbiegiem okoliczności, doskonale harmonizuje z polskim nazwiskiem wielkiego astronoma) podzielił rozprawę swą na trzy części; w pierwszej podał krótki życiorys Kopernika, w drugiej streszczenie jego dzieła *O obrotach ciał niebieskich*, w trzeciej nareszcie wyświecił stanowisko Kopernika w astronomii i stosunek jego pomysłów do nowszych prac na tym polu. Cała książka ze względu na jasność i treściwość wykładu zasługuje na gorące uznanie, które jednak znalazłoby prędzej jeszcze, gdyby autor, czy też Redakcyja „Przyrody," dołączyła od siebie kilka cieplejszych słów z okoliczności samej rocznicy, zachęcając ogół do gorliwszego niż dotąd zajęcia się tą myślą; bez tej serdecznej, obywatelskiej oprawy — książka wydaje nam się nieco za suchą, chociaż sama w sobie wzięta niewątpliwie i Redakcyi i autorowi zjedna zasłużoną wdzięczność ogółu.

Jedna jeszcze uwaga nasuwa nam się pod pióro—książka pana Kowalczyka nie wystarcza, gdy chodzi o rozpowszechnienie wiadomości o zasługach Kopernika w kole najmniej wykształconych czytelników – radzimy więc ażeby który z młodych naszych naturalistów wprawny w popularyzowanie nauki, niezależnie od szacownej pracy pana Kowalczyka, wydał znacznie mniejszą broszurę któraby streszczając to, co p. Kowalczyk pominął z umysłu, mianowicie dowody polskiej narodowości Kopernika, z drugiej strony popularnie streściła to co tam jest podane jako wyjaśnienie zasług Kopernika. Broszurka powinnaby być jak najmniejszej objętości, jak najprzystępniejszej treści i ceny.

* *

Opylona z kurzu i oczyszczona z pleśni, które ją niegdyś pokrywały, *Kronika Rodzinna* rozpoczęła nowy okres swego istnienia. Nie zerwała naturalnie ze swoją przeszłością literacką, lecz wprowadziła niektóre zmiany. Zewnętrzność i dobór artykułów nie mogą ulegać żadnemu zarzutowi—jeżeli się przyjmie zasady, jakie widocznie wyznaje Redakcyja. Wprawdzie niepodobna z piérwszego numeru określić należycie szczegółów tych zasad; to jednak wybija się na wiérzch, że duch ich ogólny jest *anty-pozytywny*. Szanujemy każde przekonanie, o ile ono jest szczere, t. j. o ile nie służy za rodzaj ponętnej reklamy, dużo obiecującej a dotrzymującej bardzo mało. *Kronika* usiłuje skojarzyć historyją biblijną z teoryją Darwina — jestto już wielkie ustępstwo na korzyść nauki. „W lat kilka —czytamy tu—nie jeden dzisiejszy *idealista* będzie nauczał głośno *o piérwotnej łączności ludzi i istot niższych*.. i nawzajem w lat kilka nie jeden disiejszy materyjalista będzie dowodzić prawd i wyrażeń, które ma dziś za prawdy i wyrażenia wieków średnich." Wszystko to być może!... Tolerancyja po-

pozór prawdopodobieństwa!—rzekł hrabia.— Ale powtarzam:—nie znasz pan kobiét. Zapytaj pan swego ojca, księcia Marcelego—zapytaj pan mnie,—a powiem ci, co to są kobiéty.

— Pamiętasz panie hrabio, ten wzniosły wiersz Wiktora Hugo:

Oh! upadłej kobiéty nie śpiesz się znieważyć!
Kto wie, jak wielki ciężar uginał jej duszę,
Jak długo sercem straszne szarpały katusze,
Nim złe tchnienie wpływ cnoty zdołało przeważyć.
Kto z nas w życiu nie spotkał tych kobiet złamanych
Czepiających się mocą rąk z sił wyczerpanych,
Podobnych kroplom rosy, na gałęzi końcu—
Które jak ciemne perły błyszczą w jasnym słońcu—
Lecz za trąceniem liścia—daremnie walczące,
Drżą - i wpadają w błoto piękne perły lśniące!—
A błąd jest przy nas—w tobie bogaczu — w twym (złocie!
Lecz kropla czystej wody znajdzie się i w błocie—
I aby ją odłączyć od brudnej kurzawy—
Aby upadłą blasków powrócić światłości—
Wystarczy—oh! wszak sposób łatwy i nie krwawy!
Jeden ciepły błysk słońca i promień miłości!—

— Czyj to przekład?—spytał hrabia.

— Mój, zrobiony na prędce!

— Ah! więc pan jesteś i poetą!—

— Nie! panie hrabio!

— I pan wierzysz w słowa Hugo?

— W te, co dopiero powtórzyłem, wierzę —a nawet rozciągam ich znaczenie daleko, bo przychodzą mi na myśl zawsze, gdy widzę z oburzeniem kobiétę ślubującą miłość dla jakichkolwiek innych względów, prócz prawdziwego uczucia!

— A! to już za wiele—więc pan ją uważasz za upadłą?

— Tak! — sprzedaje się poprostu za złoto lub tytuł! — lecz wtedy wstrzymuje mnie od gniewu myśl wyrażona w poezyi:

Qui sait sous quel fardeau sa pauvre âme succombe!

— Wiesz pan, że podobnych ekscentrycznych pojęć trudno spotkać: nie wierzę własnym uszom! Chcesz pan mieć ludzi świętemi? cherubinami?

— Nie! chcę ich widzieć ludźmi—nie zwierzętami!—szepnął Emanuel powoli.

Władysław ruszył ramionami z uśmiechem politowania.

— Czy książę Marceli na starość został trapistą? Kto pana podobnie nauczył patrzyć na życie?—spytał.

— Samo życie—i kobieta!

— A! to niepodobna! — Strzeż się młody panie, ulegasz złudzeniu—fata morgana—nic więcej.

— O nie! panie hrabio! jestem już w oazie, i wzywam innych podróżników, aby jak ja pili z niej żywą wodę i spoczęli pod błogim cieniem!

— *Qui vivra, verra!*—mruknął ziewając niby hrabia.

Mówimy *niby*,—bo on chcąc udawać obojętnego, mocno był zajęty i podrażniony słowami Emanuela.

— Odbiegliśmy daleko od przedmiotu! —może wrócimy do niego rzekł Wiśniowiecki.

— Więc cóż pan każe czytać kobietom?

— Dorosłym, z przekonaniami ustalonemi, wszystko!, jeśli zaś dla osoby kształcącej się, młodej, wrażliwej, mamy wybierać do czytania książki, wybór nasz winien być ogledny

— I naprzykład? cóż dla niej pan przeznaczasz?

— Obok dzieł poważnej treści jak historyi, rozpraw o kwestyjach żywo ludzkość dotyczących jak o oświacie ludu, studyjach psychologicznych—znalazłoby się wiele powieści bo one największy wpływ na kobiety wywierają. Angielskie powieści, jako zacne myślą i tendencyjami broniące rodzinnego ogniska, wskazujące właściwe stanowisko kobiet otrzymałyby pierwszeństwo. Dalej szwedzkie, czeskie, tendencyjne i swojskie — a na ostatnim miejscu, po niemieckich, francuskie. I prędzej Dumas *père*, niezrównany gawędziarz, swobodny, lekki, zajmujący, byłby tam umieszczony, niż jego syn... Następnie znalazłaby się poezyja wszystkich wymienionych języków i polskich wieszczów i cudzoziemskich poetów.

— Tu już bez wyboru? i nieobawiasz się pan o zawrócenie głowy?

— Nie! łatwiej jest pozować na heroinę romansu, niż egzaltować się poezyją. Wreszcie, to piękna, czysta, świetlana sfera, do której niech się wznosi dusza kobieca, niech chłonie promienne błyski tchnienia ideału!...

Milczeli obaj chwilkę — nakoniec hrabia rzekł.

— No! układajże sobie pan biblijotekę jak chcesz—ja jej nie będę czytał a przypuszczam że Elodyi wszystko przypadnie do gustu. —Do widzenia!

Uradowany Emanuel uścisnął podane sobie dwa palce i ochotnie zabrał się do przejrzenia katalogu.

Ledwo Władysław wyszedł, gdy z drugich drzwi zaszeleściała suknia kobieca, i Elodyja w zielonej amazonce, zapominając unieść wlokącej się sukni—rozogniona z rękami założonemi na piersiach, stanęła przed zdziwionym Emanuelem.

— Słyszałam pańską obronę kobiet!—Pan cudownie grasz, cudowniej mówisz!... Oh! jak to było piękne!... powiedziała z uniesieniem, i zaczęła deklamować:

— Oh! upadłej kobiety, nie spiesz się znieważyć!...

Powtórzyła całe z pamięci.—Oczy jej błyszczały od łez.

Emanuel nie wiedział co ma mówić.

— Pani się zgadza na mój projekt urządzenia biblijoteki — rzekł nakoniec zmięszany.

— Naturalnie!... Ja nie mam własnego zdania — ale wierzę pańskiemu! — to pewno jest prawdą!... ja to czuję!...

— Ojciec pani nie podziela moich wyobrażeń!...

— Mój ojciec?... ja nie mam ojca!... o kim pan mówisz?

— Ależ!... wyjęknął Emanuel—hrabia....

— Władysław?.. to mój mąż! — zawołała wybuchając śmiechem.

— No! to mi się udało! pomyślał zakłopotany, jąkając przeproszenie.

Elodyja nagle sposępiała.

— Ah! to on wygląda na mego ojca? więc on już jest stary!...

Emanuel stał jak na mękach — przyzwyczajonym był do śmiałego, ale poważnego obejścia Beaty. Dziecinna nierozwaga słów Elodyi raziła go i mięszała niewymownie. Jednak nie mógł oderwać oczu od tej twarzyczki ożywionej, ruchliwej, szczególnym wyrazem inteligiencyi i kaprysu dziecka zepsutego.

Szczęściem za szczebiocząca Djolą, ukazała się sztywna postać panny Bertel która widokiem swym może przypomniała jej zasadę o *mauvais genre*, — bo innym już głosem poprosiła o książkę.

— Pani wybaczy, ale dotąd nie jestem obeznany z biblijoteką, więc w tej chwili nie mogę jej służyć.

— To nie pilno!—mogę ją dostać dopiero

---

wszechna przekonań, nie wyłączająca bynajmniej rozumnej walki *w zakresie dowodów*, powinna być podstawą wszystkich naszych stosunków. Kronika w kwestyjach społecznych nie jest zacofaną: owszem zachęca do oświaty, do pracy w kierunku praktycznym, do której i my nieraz już wzywaliśmy. Na tym punkcie gorąco przyklaskujemy Kronice. W sferze zaś myśli abstrakcyjnej idzie o to, ażeby wszystkich twierdzeń starano się dowieść, jeżeli nie odrazu to stopniowo, ale dowieść koniecznie. W tym celu prosilibyśmy Kroniki o wyjaśnienie, co rozumie przez „wzrok drugi, subtelniejszy i dalej sięgający", który służy do *postrzegania* prawdy, która jedna tylko *jest pozytywna?*" Wyjaśnienie takie zaznajomi nas z cząstką psychologii Kroniki.

* * *

Pierwszy numer „Ogniska Domowego" wyszedł także z pod prasy w dniu 2 b.m. na pożytek „życia rodzinnego, wychowania fizycznego i umysłowego, *kultury*, cywilizacyi, gospodarstwa domowego i t. d." Z pierwszego debiutu nie możemy osądzić jakie będzie przyszłe stanowisko tego organu pokrewnego nam dziedziną i tytułem; jakkolwiek bowiem artykuł wstępny poświęcony „*bilansowi kulturowemu*" zdaje się zarysowywać podstawowe zasady pisma, wszelako dalsze ich rozwinięcie, a nadewszystko umiejętność przeprowadzenia, nie dadzą się dziś jeszcze określić. Przez życzliwość dla redakcyi i czytelników radzilibyśmy jednak przedewszystkim, aby „Ognisko" postarało się o żywsze płomienie. Jaśniej mówiąc—potrzeba koniecznie udatniejszéj stylistycznej formy.

Peryjody długie, boleśnie i jakby po niemiecku rozwinięte, z nieznośnym zakończeniem za pomocą czasowników, nie zgadzają się z duchem naszego języka i co za tym idzie są przykre dla ucha, a nawet zaciemniają myśl samą. Nie wzbogaca także ani treści ani formy powtarzanie jakiegoś z monotonną namiętnością poślubionego wyrazu, jak to ma miejsce z wyrazem „kultura i kulturowy," który na kilku szpaltach spotykamy 16 razy.

Odcinek zatytułowany „z domu i świata" napisany jest najżwawiej i najpoczytniej.

* * *

Niedawno opuściła prasę broszurka p. B. Mayzla p. t. *O ubezpieczeniach—Rzecz o istocie i systematach ubezpieczeń, z dodaniem krótkiéj wiadomości o działających w Królestwie Polskim instytucyjach asekuracyjnych.* Jestto dopiero trzecia w tym kierunku praca jaka się u nas ukazała. Oprócz bowiem dziełka p. Antoniego Kosteckiego p. t. *O zabezpieczeniach w ogóle, a wszczególności o zabezpieczeniach w naszym kraju.* Kraków 1862 r., oraz pracy p. Feliksa Ehrenfeuchta p. t. *Rocznik ubezpieczeń na rok 1873*, żadnej innej literatura nasza nieposiada, gdy kwestyja ubezpieczeń jest dla publiczności prawie nieznaną. Dla tego tym chętniej witamy pracę p. Mayzla zwłaszcza iż takowa w ogóle dość sumiennie podjętą została.

Autor pierwszą część pracy poświęcił teoretycznemu przedstawieniu istoty i systemów ubezpieczeń, t. j. definicyi ubezpieczeń, opierając się na zdaniach zagranicznych autorów i trzech systemów ubezpieczeń wzajemnych, akcyjnych i mieszanych. W części zaś drugiej dał pobieżną wzmiankę o każdej z działających w kraju naszym instytucyj. W całej pracy widać trzymanie się zdala od dotknięcia szczegółowego rozbioru zasad ubezpieczeń, oraz wyjaśnienia specyjalnych działów asekuracyjnych, o czym sam autor zaznaczył na czele broszurki.

* * *

Nasza literatura naukowa poczyna również dawać znaki życia; jednym z tych objawów w czasach ostatnich są prace pana Wł. Trzaski z zakresu wyższej matematyki.

jutro! dziś nawet, jedziemy na wizytę!—rzekła Elodyja w roztargnieniu.

Przez zapomnienie podała mu rękę na pożegnanie. Gdy osłupiały Emanuel dotknął ją końcem swych palców, oprzytomniała, i rumieniejąc się nagle wybiegła z pokoju.

Po jej wyjściu, Emanuel stał długo jak przykuty, potarł ręką czoło, i dopiero odgłos kroków lokaja, mającego mu dopomagać w rozpakowaniu książek, powołał go do pracy. *(d. c. n.)*

CO MAJĄ CZYNIĆ SZKOŁY
ażeby wyrobić w młodzieży charakter samodzielny?

(wyjątek z dziełka niemieckiego pedagoga

D-ra Piltza.)

przekład Jadwigi O.

Wielkie i wzniosłe zmiany zaszły w ostatnich czasach. Rozdzielone niemieckie plemiona, zgodnym połączywszy się węzłem, powaliły wspólnego nieprzyjaciela; i po pełnych chwały zwycięstwach, powstała nowoodbudowana niemiecka monarchija, ażeby potęgę swą świetniej jeszcze niż w przeszłości rozwinąć. W chwili więc, kiedy naród niemiecki wzniósł się do wolności i szczęścia, i szkoły powinny dać popęd do postępu. Nowe cele, objawiające się w życiu narodu, i szkołom także przypominają: że zadanie ich coraz się zwiększa, a wpływ ma być donioślejszy i potężniejszy. Szkoła, to jakby druga duchowa matka rozkwitającego pokolenia; wszelkie z przeszłości pozostałe niedostatki i błędy poprawiać powinna—a zawody, jakie się zwykle przed wielkiemi zmianami i reformami ukazują, pokonywać i usuwać. Nietrzeba być pesymistą, ażeby dostrzedz, na czym nam zbywa. Każdy naród ma swoje ułomności i chwilowe niedostatki, nic więc dziwnego, że i nasz naród (niemiecki) nie jest od nich wolny. Zarzucają mu między innemi, gadatliwość samochwalczą niezgodną z czynami, napuszoność, idącą w parze z niewolniczą uległością, wyrachowaną i przebiegłą polityczną chwiejność, która mu każe w tę stronę się zwracać w którą wiatr zawieje, a rękę podać tam, gdzie z interesu wypada: tchórzostwo, pierzchliwość i ociężałość, zbytnie rozważanie—przez co nie przychodzi do woli ani do działania. Krótko mówiąc, zarzucają brak samoistności w myślach, oraz samodzielności w czynach naszego narodu. Brak zaś samodzielności, najwybitniéj w młodzieży naszéj się objawia. Żali się na to kupiec, że wychowańcy nasi żadnych praktycznych poglądów ze sobą do niego nie przynoszą, że trzeba ich w najlżejszych obowiązkach pilnować, każdy list im dyktować. Skarży się rzemieślnik na swoich terminatorów: iż na każdym kroku, przy każdym przyrządzie, tysiączne objaśnienia dawać im potrzeba, że nosem prawie jakto mówią, każdej rzeczy dotknąć się muszą, zanim ją zrozumieją. A szkoły wyższe—te godne siostrzyce szkół ludowych! I te nam wcale pieśni pochwalnych nie nucą. Ale raczej w jeremijadach swoich, kładą nacisk na brak wprawy w myślenie i jednostronność w poglądach naukowych naszéj młodzieży. Tak, dzieci nasze dużo niby *umieją*, a zbyt mało *pojmują!* Nie wiem ja—jak dalece słuszne są te zarzuty i narzekania; lecz to jest pewne i jak dzień jasne: że kwestyja samodzielności w myślach i czynach naszego narodu, nigdy więcej uzasadnioną—nigdy bardziej naglącą, niż w dzisiejszych czasach nie była. Dziś, kiedy swobodne współzawodnictwo na każdym polu działania panuje, kiedy duch pracy, przeważa nad próżniactwem i lenistwem, a praca rozumna staje się koniecznością dla każdego, kto tylko niechce upaść; dziś więcej niż kiedykolwiek o to powinniśmy się starać: ażeby młodzież do samodzielnego i praktycznego działania usposobić. Prawdą jest, iż żyjemy w czasach obfitujących w czyny; ale to jeszcze pytanie, czy tym wielkim dziełom, jakie się naszym oczom ukazały i jeszcze ukażą, także i prawdziwe czyny ludu towarzyszyć będą. Czyliteż spełnią się gorzkie słowa poety, że: „Wielka chwila, słabe zastała pokolenie“... Jeżeli gdzie i kiedy, to w obecnym czasie powinien naród niemiecki dowieść: czy w myślach swych, uczuciach i postępkach jest dojrzałym i samodzielnym; czyliteż, jakby piłka w ręku ma służyć za igraszkę, większym lub mniejszym despotom. Czy w owych wzburzonych czasach, popadnie w ręce fanatyzmu—albo też, jako naród pełnoletni: odróżni prawo od bezprawia, prawdę od fałszu, łudzące pozory, od prawdziwego szczęścia.

Samoistność i samodzielność przynoszą zaszczyt narodowi, stanowią moc jego—utrwalają panowanie—i torują najpewniejszą drogę do sławy i szczęścia! Dla czego podziwiamy świetne czyny starożytnych ludów? Oto dla tego: że narody te składały się z obywateli, którzy działali zgodnie z przekonaniem swoim; dla których największym było zaszczytem, serdeczne zajmowanie się kierunkiem spraw swojej ojczyzny. Wprawdzie i oni musieli walczyć z przeciwnościami, i na nich przyszły ciężkie czasy; gdy ambitni głupcy, rozsiewając niezgodę, zawładnęli umysłami ludu. Ale wtenczas dopiero ulegli zupełnemu upadkowi; kiedy swobodne przekonanie i szlachetny sposób myślenia, coraz rzadszemi się stały. Upadli Rzymianie, gdy już w całym narodzie, ani myśli, ani woli niebyło i być niemogło; gdy znikła swoboda, a niewolnictwo do tego doszło stopnia: iż najmniejsze lekceważenie niezliczonych praw obowiązujących, uważane było, za zdradę stanu. Wraz z samoistnością i samodzielnością charakterów zniknął naród, a chociaż znalazły się jednostki występujące z sarkazmem i szyderstwem, „nie troszczono się tam o męczarnie ujętego ptaka w klatce“... Bodajby i naród niemiecki nie doszedł kiedy do tego! Niech nas strzeże Bóg na niebie, a szkoła, ta zastępczyni Jego w wychowaniu młodzieży, niech zapisze na swym sztandarze: *samoistność* i *samodzielność!*

Powiadają; że samoistnym może tylko uczynić powołanie; że do czynu pobudza życie, położenie, jednym słowem los i świat. Ale obok tego, zapominają zupełnie, że dusza jest organizmem, w którym się nic zaszczepić nieda, a przynajmniej zaszczepić szczęśliwie, jeśli go poprzednio nieprzygotowano do przyjęcia nowego kierunku rozwoju. Jeżeli więc w młodzieńcu nie wyrobimy ducha samoistności, to w i dalszym życiu z trudnością zdobyć mu go przyjdzie; będzie się on chwiał w tę lub owę stronę, i mimo najlepszych chęci, gruntownych przekonań nie zdobędzie. Wszystko w siebie da wmówić, nawet opinije religijne, pozwoli sobie narzucić. Uczeń, który w zakładzie naukowym, jak motyl bez skrzydeł poruszać się musi; będzie i w dojrzałym wieku niedołężnym. Wyrabianie więc samoistności i energii jest koniecznym; jestto zadanie od którego w żaden sposób szkoła uchylać się nie może. Część tego zadania, spoczywa na domu i na ogródkach dziecinnych. Jak zaś ważną rolę w tym wzglę-

---

Nie wdając się w ocenę rozpraw świadczących o wielkich zdolnościach i erudycyi autora, poprzestaniemy na wyliczeniu ich tytułów: 1) *Kilka uwag tyczących się funkcyj wielowymiarowych.* 2) *Dowód pewnego twierdzenia tyczącego się funkcyj wielowymiarowych okresowych.* 3) *O niektórych własnościach pewnego rodzaju funkcyj jednej zmiennej urojonej.* 4) *O pewnym zastosowaniu wyznaczników funkcyjnych.* 5) *O nakreśleniu do trzech kół leżących na powierzchni jednej kuli czwartego koła stycznego.* 6) *Krótkie wiadomości o wyznacznikach.* Ostatnia praca jest przedrukiem dopisku p. Wł. T. w *Zasadach Rachunku Różniczkowego*, a trzy poprzednie przedrukiem rozpraw w *Pamiętniku Towarzystwa Nauk ścisłych* umieszczonych, o którym to Towarzystwie w N-rze 33 Opiekuna Domowego w r. z. podaliśmy wiadomość. Przy tej sposobności, niech nam wolno będzie zrobić wzmiankę, że z niecierpliwością oczekujemy dalszego ciągu wydawnictw Towarzystwa.

* * *

W N-rze 1 Gazety Polskiej recenzent filologicznej pracy p. Sławińskiego wyraża między innemi przekonanie, iż w ciągu ostatnich *lat piętnastu* nasza poważna literatura zbogaconą została jedynie *dwoma* dziełami ściśle naukowej wartości. Sądzimy, że pesymizm sprawozdawcy posuwa się zbyt daleko, jak o tym przecież przekonać może uważne rozpatrzenie się w pierwszym lepszym księgarskim katalogu. Trzeba tylko uzbroić się w bezstronność i pewną znajomość rzeczy.

* * *

Podobno kilku tutejszych członków rossyjskiego *Towarzystwa wspierania przemysłu i handlu*, podało projekt otworzenia w Warszawie filii tego Towarzystwa. Projekt ma być wkrótce do zatwierdzenia przedstawiony.

* * *

Dnia 10 b. m. t. j. w piątek o godzinie 6-tej wieczór członek redakcyi naszego pisma Jan Maurycy Kamiński mieć będzie w sali Ressursy Obywatelskiej odczyt publiczny „*O nieletnich przestępcach.*“ Dochód z odczytu stosownie do zapowiedzi naszej (patrz Nr. 19 r. z.) przeznaczony jest na korzyść Towarzystwa Osad Rolnych i Przytułków Rzemieślniczych.

Co do treści odczytu,—prócz psychicznej analizy i przedstawienia stanowiska nieletnich wobec prawa karnego, prelegent zamierza wykazać wadliwość społecznych urządzeń w skutek których dzieci opieki pozbawione rzucone są na łup zepsucia i zbrodni. Jedynym środkiem zapobieżenia złemu mogą być instytucyje, których rozwój zależy od dobrej woli i stopnia rozumnej obywatelskiej energii danego społeczeństwa.

* * *

Szanowny Panie Redaktorze!

W odcinku ostatniego N-ru Opiek. Dom. z r. zeszłego pomieszczoną została ocena mej pracy o Samuelu Twardowskim, w której zarzucono mi między innemi, żem pominął milczeniem obszerny bo 8,000 wierszy liczący poemat Twardowskiego p. t. „Pałac Leszczyńskich.“ Otóż widocznie szan. krytyk nie miał pod ręką żadnego wydania poezyj autora „Legacyi“, bo inaczej łatwo byłoby się przekonać, że ów mniemany poemat jest zwykłym panegirykiem na wjazd Bogusława Leszczyńskiego do Poznania napisanym i że nie liczy on nawet 1,000 wierszy, zajmując u Turowskiego przedruku około 40 stron. Co się tyczy wewnętrznej wartości to niéma i nie mógł mieć ten utwór żadnej, gdyż jestto tylko wierszowana genealogija rodu Leszczyńskich. Twardowski chciał tu widocznie naśladować Szymonowicza „Imagines diaetae Zamoscianae“ lecz dość zestawić choć nie-

dzie, ogródki te odgrywają, to okazała reakcyja 1850-go roku, która właśnie spowodowała rozkaz ich zamknięcia. Gdzie w ogródkach dziecinnych, nieprzeistaczają malców w istoty rozmarzone, nienaturalne i świętoszkowate; gdzie im pozwalają igrać wesoło, działać swobodnie, żwawo przewracać koziołki; tam z nich wyrasta mały ludek któremu świeżość pomysłów z oczu błyska. Szkoły ludowe—w ogóle szkoły, mają aż nadto dosyć siły i sposobności, by powyższy cel osiągnąć. I nie będzie to wcale przesadą, gdy powiemy: że naród niemiecki już nie jeden stopień światła, prawdy, i nie jednę swobodę, szkołom swoim zawdzięcza. Ani też zbyt śmiałym jest to twierdzenie: iż przyjdzie czas, kiedy naród, swoję samoistność i samodzielność—szkołom po części, za zasługę poczyta. Starajmyż się, czas ten przyśpieszyć, nie zaniedbujmy zastanawiać się, badać z całym przejęciem; szczerze i stanowczo zadawać sobie pytania: Co mają czynić szkoły, by wyrobić w młodzieży stałość i pewność charakteru?

(*D. c. n.*)

NASI POWIEŚCIOPISARZE.

I.

Teod. Tom. Jeż.

(*Dalszy ciąg*).

Z powyższego widać, że Jeż, występując na pole działalności literackiej, miał już i obszerne doświadczenie życiowe i dobrze wyrobione pojęcia, połączone oczywiście z wielkim talentem opowiadania i obrazowania. Tym sobie objaśniamy owo nagłe uznanie i szerokie powodzenie, jakich doznał już w samym początku swego zawodu, kiedy, mówiąc jego słowami: „minął trzydziestkę“. Zaczął on pisać, o ile wiemy, w roku 1858. Wtedy ukazały się w *Dzienniku literackim* lwowskim zajmujące „Pamiętniki Włóczęgi“ i powieść „Wasyl Hołub“. Spółcześnie pisywał też korespondencyje do różnych czasopism. W trzy lata potym Julijan Bartoszewicz, kreśląc Historyją literatury polskiej, potocznie opowiedzianą, zaznaczał już stanowisko Jeża w naszym powieściopisarstwie. „Nienaśladowany on jest—pisze Bartoszewicz—w swoich malowidłach; z jego powieści i korespondencyj lepiej poznajemy spółczesne Węgry, Multany, Wołochy i Serbów, lub wreszcie lud na Rusi, aniżeli z niejednéj historyi. Talent gawędzenia w nim znakomity, bierze najprostszą rzecz np. taniec[1]) i obrazuje go tak żywo, tak długo, że dziwimy się, jak można wypowiedzieć tak obszerną tyradę o niczym, ale autor ciska w takiéj swojéj gawędzie tak dużo iskier dowcipu, tak jest śmiało wesoły, tak żartobliwie poważny, że mimowolnie i tu porywa za sobą czytelnika.“ Rzadko któremu z nowszych powieściopisarzów dostała się w udziale tak pochlebna wzmianka o pierwszych jego utworach, rzadko kiedy uznanie tak wyraźne towarzyszy początkowym niejako krokom wielkiego nawet talentu. Musiało go więc coś wyróżniać od całego zastępu współcześnie występujących pracowników; musiała w nim być jakaś siła ukryta, zmuszająca do wsłuchiwania się w głos jego, do rozbierania jego myśli,—jednym słowem, do głębszego nad nim zastanowienia się. Tym „coś“ wyróżniającym, tą „siłą ukrytą“, była idea demokratyczna, przewijająca się srebrzystym pasmem przez wszystkie pisma Jeża. Interesa ludu, interesa klas niższych, uciśnionych, wystąpiły u niego na plan piérwszy, wypowiedziały się z całą swoją potęgą. Nie było to sielankowe, nieszczere po części lubowanie się w rzeczach ludowych poetów dawniejszych, którzy wzorem dyletantów zachwycali się miłym obrazkiem, „słodyczą i prostotą“ wiejskich zwłaszcza obyczajów, miłością silną, niekonwencyjonalną czarnobrewych dziewic... Nie było również gorączkowy, a więc chorobliwy entuzyjazm niektórych głów zapalonych, dziś prawie zupełnie zapomnianych, którzy pod wpływem prądu społecznego, jaki panował we Francyi, chcieli się *zniżać* do klas majątkowo i umysłowo upośledzonych, mówiąc sobie, że tym jedynie sposobem można zerwać z fałszem i zepsuciem warstw ucywilizowanych i wyrafinowanych. Nie było nawet taki pogląd na rzeczy, jaki objawiał w *niektórych* powieściach (np. Ulana, Ostap Bondarczuk, Jaryna, Jermoła, Chata za wsią, Pan i Szewc). P. Kraszewski był przeważnie przedstawicielem „poczciwéj“ drobnéj szlachty w przeciwstawieniu do „zgniłéj“ arystokracyi; kiedy zaś spoglądał na lud wiejski lub miejski, to w oku jego przebłyskiwało uczucie filantropijne, wzywające do niesienia ulgi biednym w imię litości, w imię tych serdecznych, rozkliwionych niekiedy popędów, jakie w organizacyi silnéj budzą się na widok ucisku organizacyi słabéj. Prócz tego piérwiastek uczuciowy w wielkiéj dozie wchodzący w skład talentu nestora naszych powieściopisarzów, zanadto idealizował postaci ludowe, przypisując im prawie zawsze same strony jasne, obłoczne, marzycielskie...

Jeż przeciwnie, zna dobrze zarówno wady jak i zalety swoich ludowych bohaterów i bohaterek; nie ukrywa ich przed czytelnikami; owszem, z całą jaskrawością sobie właściwą, przedstawia je obszernie, bez usprawiedliwień sofistycznych, nie kładąc im na czoło fałszywego nimbusu świętości i niepokalanego idealizmu. Nie wyrywa ich bynajmniéj ze sfery życia praktycznego, chcąc umieścić gdzieś na wysokościach niedojrzanych. Są to ludzie zwyczajni, których okoliczności mniéj lub więcéj ważne, wyniosły nad poziom powszedniéj krzątaniny około zadośćuczynienia potrzebom koniecznym, czysto-zwierzęcym lub też czysto-ludzkim. Ważność ich na czym innym polega. Wydobywa się ona z wnętrza mas wielkich, nieobliczonych, a zapomnianych, które mają *prawo* do używania wszystkich korzyści, jakie cywilizacyja z sobą przynosi, a które im odejmuje przesąd, egoizm lub zepsucie klas uprzywilejowanych. Ażeby im przyznać to prawo, niepotrzeba litości ani filantropii, zachęt gorących i przemów tkliwych; potrzeba tylko szanować człowieka, znać swoje obowiązki i mieć wzgląd na cele, ku którym życie społeczne kierować się powinno.

Chcąc zrozumieć, jakie konsekwencyje pociąga za sobą taki pogląd na sprawy życia, zróbmy porównanie. Wybieramy utwory powszechnie znane. Wspólnością treści a po części i dążności łączą się z sobą dwie powieści: *Ulana* p. Kraszewskiego i *Wrzeciono* Jeża. Uwiedzenie wiejskiéj dziewczyny, piérwszorzędnéj piękności, przez tak zwanego „pana“ to jest właściciela wioski, i śmierć dobrowolna ofiary—stanowią w ostatecznym streszczeniu osnowę tych dwu powieściowych utworów. Ale jakaż różnica w zużytkowaniu téj osnowy! Pomijamy już tę okoliczność, że Ulana była kobietą zamężną, że, dając się uwieść „panu“, mogła mieć za wymówkę jedynie brak zasad moralnych a wygórowanie pojęć *romantycznych*—jeżeli ją w duchu auto-

[1]) *Czardasz* w „Szandor Kowaczu“.

---

zbyt wierny może przekład Syrokomli „z Pałacem Leszczyńskich“, by ocenić jak wielka zachodzi różnica pomiędzy pełnym smaku i zapału obrobieniem tegoż samego pomysłu przez Szymonowicza a rzemieślniczą fabrykacyją Twardowskiego, naładowaną zwykłym balastem szkolnej erudycyi i poprzetykaną pochlebstwami powtarzanemi z kolei każdemu z licznych protektorów poety.

Co się tyczy „Nadobnej Paskwaliny“ mylnie „Nową“ przez szan. krytyka nazwanej, to jakkolwiek również jestem o lekceważenie jej zalet oskarżony, sądzę, że zarzut ten wynikł z nieznajomości tego utworu w jednym tylko wydaniu istniejącego. Że go szan. recenzent nie czytał, temu dziwić się nie można, bo na to istotnie szkoda czasu, lecz w takim razie po cóż stawać w obronie takiej błahostki?

Upraszając Szan: Pana o zamieszczenie w swych, szpaltach tych paru słów pozostaję z szacunkiem.

Br. Chlebowski.

Przyp. Red. Pomyłkę korektorską co do „Nadobnej Paskwaliny“ chętnie prostujemy. Jeżeli p. Chl. uważnie odczyta wzmiankę krytyczną o swoim studyjum, przekona się, że nam nie szło o liczbę wierszy ani o wartość poetyczną „Pałacu Leszczyńskich“—tylko o brak wniosków, jakie można z niego wyciągnąć w interesie bliższego poznania epoki. P. Chl. nie przytacza żadnych dowodów przeciwnych, powtarzając ogólniki, któreśmy czytali już w jego studyjum o nadętości, pochlebstwie i t. d. — a zarzuty swoje opiera na przypuszczeniu, że krytyk nie widział albo nie czytał dzieła, o którym pisał. Bezwątpienia, przekonanie o głękokości swojej erudycyi jest rzeczą nader pocieszającą dla autora, trudno nam jednakże uważać kogoś za powagę na własne jego zaręczenie; dowolne zaś rzucanie przypuszczeń co do osoby nieznanego mu krytyka jest dowodem co najmniej... braku taktu.

* * *

Z przyjemnością dowiadujemy się z dzienników Berlińskich o powodzeniu, jakie uzyskał ziomek nasz p. Gustaw Friemann, lublinianin, obecnie nadworny skrzypek w. ks. Heskiego.

W d. 29 Listopada dawał on koncert ze współudziałem panny Hahn śpiewaczki w tak zwanéj Singacademie. Dzienniki tamtejsze (jak: Algemeine norddeutsche Zeitung, Berliner Zeitung, Musik Zeitung) nawet Kreuz Zeitung (Nr. 282) oddaje zasłużone pochwały grze p. Friemana jako biegłego wykonawcy i zdolnego kompozytora.

Na koncercie wspomnionym, grał p. Friemann adagio i finał z E-dur koncertu Wieniawskiego, następnie „romanze“ i „polonaise brillante“ własnéj kompozycyi, które szczególniej zachwyciły niemiecką publiczność; na zakończenie zaś wielką fantazyją z Fausta-Gunoda, utwór Wieniawskiego.

Według sprawozdań dzienników wspomnionych gra naszego artysty odznacza się wielką techniczną wprawą i werwą, tonem pięknym i silnym, wybornemi flażeoletami i staccato; nakoniec uczuciem jakim umiejętnie włada.

P. Friemann występował już i u nas a jak słyszeliśmy zamierza za powrotem z zagranicy dać nam poznać swoje utwory.

ra pojmować zechcemy; ale, co ważniejsza, p. Kraszewski wystawił bohatera, owego „pana“ jako człowieka wykształconego—a uczciwego, który powinien był rozumieć swoje obowiązki—a jednak nie miał siły ich spełnić. Kto czyta Ulanę, nie może się oburzać na „pana“, bo to taki dobry, potulny, cichy, poetyczny młodzieniec! tak lubi marzyć, tak serdecznie podziwia piękności natury, że nie podobna mu brać za złe, iż się pokochał w pięknym jej tworze—w cudnéj Ulanie; jak również niepodobna mu brać za złe, że się następnie znudził jednostajnością widoku i poszukał sobie towarzyszki w sferze dla siebie odpowiedniejszéj. Rzecz bardzo prosta: szedł za popędem dobrego i tkliwego serca, litował się nad samotnym położeniem Ulany, którą mąż kijami okładał; ależ wieki tak trwać nie mogło! Uczucie przecież, to rzecz tak zmienna, jak „fala“—przeszła jedna, następuje druga. Kto zanadto zaufał, ginąć musi. Kto słuchał chwilowych natchnień swoich, żyć będzie szczęśliwy i—spokojny. Litujemy się nad Ulaną, uronimy łzę nad jéj śmiercią i—ściśniemy serdecznie rękę „pana“, który zostanie bardzo dobrym, może nawet postępowym przedstawicielem „drobnéj szlachty.“

Co innego *Wrzeciono*. *Ksenia* żyjąc wśród głupiego i zepsutego otoczenia, mając na każdym kroku przykłady przedajności, lekceważenia obyczajów, zamiłowanie we fraszkach i błyskotkach, nie miała skąd wziąć siły oporu, nie miała jasnych pojęć o prawości i nieprawości—a jednak wystąpiła w obronie swéj dziewiczości daleko samowiedniéj i daleko energiczniéj, aniżeli Ulana. „Pan“—Gabryś, poczciwy chłopak, ale niedołęga, dający się powodować swoim „dobrym“ to jest drapieżnym przyjaciołom, nie może zyskać naszéj sympatyi, która cała zwraca się wstronę nieszczęśliwéj Kseni, *sprzedanéj* poprostu przez swoich panów. Tu oczywiście wchodzi w grę prawo każdego człowieka do swobody, do zatrzymania swojéj osobistéj wolności, zdeptane przez takich, którzy np. leżąc na grzbiecie, zakładają się o to, kto wyżéj plunie do sufitu!.. Nicość moralna i umysłowa, zepsucie i spodlenie, głupota i śmieszne pretensyje z jednéj—a ciemnota, potrzeby fizyczne i duchowe, których nie można było zaspokoić, z drugiéj strony—stawiają się jako zagadnienie do rozwiązania, jako kwestyja pominąć się nie dająca. Niéma tu mowy o filantropii; lecz o prawach i obowiązkach [1].

W ten mniéj więcéj sposób Jeż wytwarza kontrasty między zdrową i silną klasą ludności, któréj brak jedynie uprawy umysłowéj, podstaw moralnych— a pomiędzy ową klasą uprzywilejowaną, która przeżywa krwawą pracą przodków nabyty skarb duchowy i materyjalny, sama nic na przyszłość nie produkując. Nie oszczędza tu ani arystokracyi ani drobnéj szlachty; odkrywa zgangrenowane części wszędzie, gdzie się ich dopatrzy. Mylny atoli wyciągniętoby stąd wniosek, gdyby przypuszczano, że Jeż tendencyjnie, naumyślnie poszukuje złéj strony w klasach uprzywilejowanych. Tak nie jest. Nie uważa on swego społeczeństwa za zupełnie zepsute, do niczego już niezdatne, na któreby tylko kamień potępienia rzucić wypadało. Jeżeli nie we wszystkich powieściach, to w znacznéj ich części, napotykamy postaci, którym ze spokojnym sumieniem cześć złożyć możemy. Jedno tylko potrzebne tu zastrzeżenie. W niektórych występują te charaktery dodatnie w wielkiem oddaleniu, tak, że je mrok pewien oczom naszym przesłania; stąd wrażenie ogólne, z przeczytanéj powieści odebrane, prawie całkowicie ujemnie się przedstawia jak np. Edward Kloc, Helena, a po części i Urocza. Nie wypływa stąd jednakże, żeby tak było wszędzie. Dość przytoczyć Krwawe dzieje, Historyją o prapra-wnuku i pra-pra-dziadku, Na placówce, Nauczycielkę i inne.

Jeż nie jest jednostronnym, wrzaskliwym demagogiem, któryby z zaślepieniem fanatyka wytykał zazdrośnie wszystkie plamy, jakie na pewnej części społecznego organizmu zaobserwował; nie występuje jako deklamator chcący koniecznie dowieść tego, o czem nie jest wewnętrznie przekonany; — ale pisze jak człowiek, rozumiejący dzisiejszą dążność do podniesienia samowiedzy mas, do wywalczenia należnego im stanowiska. Nie jego wina, że, widząc zapory stawiane téj dążności, chciałby je wszelkiemi siłami usunąć, ażeby umożebnić dalszy pochód ku światłu i prawdzie. Brak dobrego wychowania, które psuje powiększéj części zbyt wielka pobłażliwość matek, jak mówi Jeż w *Opowiadaniu Stasia;* niski stan oświaty, zepsucie młodych ludzi, którzy nie umiejąc sobie znaleść pola do działania, gnuśnieją w bezczynności lub grzęzną w błocie; egoizm brudny, rozpowszechniający się w bogatych warstwach ludności; — oto główne zapory, któreby jaknajprędzéj znieść należało — odnośnie do mężczyzn. Co się tycze płci białéj, Jeż domaga się jéj spółudziału w pracy społecznéj, zarzucając dotychczasowym przedstawicielkom brak samodzielności, brak nauki, brak istotnego zrozumienia ciążących na nich obowiązków. Myśli te wypowiada zarówno w powieściach (szczególniéj w Uroczéj—postać Róży) jak i w korespondencyjach i luźnych artykułach. W jednym z nich p. n. *Wielka Pani* (drukowanym w Opiekunie Domowym z r. 1869 N. 7 i 8) zastanawia się nad tym, dlaczego nasze bohaterki powieściowe „wcale niebohatersko“ wyglądają. Odpowiedź daje taką: Mało mają samodzielności; europeizm nie dozwala im wystąpić na pole czynnéj działalności w życiu społecznym — jak np. Amer kankom. Stąd powstają typy: kwiatka w pączku zdatne do obrazka, kobiety z kluczykami i chustką dla ocierania nosów malcom — lub jaskrawéj aż do szatanizmu zalotnicy. Typu zaś właściwéj polskiéj kobiéty niéma—*do tego trzeba równouprawnienia*. Cieplarniana atmosfera salonu nie dozwala rozrość się ani uczuciu kobiéty, ani jéj umysłowym zdolnościom. Stąd też pełno istot złamanych, nieszczęśliwych, które straciwszy jedyną nadzieję wiążącą ich ze światem — miłość — ginąć muszą młode i nieopłakane. Albo też sfałszowawszy swoję naturę, igrają sobie z życiem, starając się jaknajwięcéj wyciągnąć z niego słodyczy—a o resztę nietylko nie dbając, ale nawet o niéj nie myśląc. Kokieteryja, chorobliwa sentymentalność lub wyrafinowana zmysłowość — oto skutki dotychczasowego trybu wychowania. Dzielne serca znajdują się pomiędzy ludem; one mają siłę do zniesienia nieszczęść i siłę wytrwania. Wierne do grobu, poświęcające się z pominięciem własnych przyjemności, czułe bez gorączki chwilowéj, a chłodu długiego mają w sobie źródło życia, które im zapewni miłość. Chociażby bohaterowie na chwilę o nich zapomnieli, pociągnięci blaskiem wykwintnego życia, wracają przecież do nich w końcu i—żyją szczęśliwie. Nie jestto atoli ideał Jeża: to tylko wskazówka. Jeż podziela w zupełności przekonanie, że chcąc lud uszlachetnić, nie zniżać się do niego, ale podnosić go ku sobie należy. (*d. c. n.*)

[1] Nie porównywamy Ulany i Wrzeciona jako utworów sztuki. Ulana jako dzieło *fantazyi* jest bezwątpienia wyższą, jako dzieło *myśli* — niższą od Wrzeciona.

MOJA SĄSIADKA.

(Szkic z natury).

Que la femme prenne et fasse sa part
dans les soucis et les travaux de la famille,
elle sera l'égale et l'associée de l'homme.
Alphonse Karr.

Codziennie, o szóstej rano, budzi mnie śpiew. Jestto przebudzenie rozkoszne.

Śpiew wychodzi z niedużego okienka oplecionego bluszczem. W okienku stoi doniczka pelargonii kwitnącej i szklanny słoik z ablegrami. Wiszą w nim także białe firanki.

Śpiew ten jest dla mnie pobudką. Nie ma w sobie pierwiastku opiatycznego jak wszelka melodyja sztuczna. Przeciwnie, jest prosty i rzeźkości pełen.

Otwieram oczy do światła. Widzenia, które sen tworzy, te kształty niepewne i drżące, które są „wyziewamy duszy” rozpływają się jak kolumna dymu. Zmrok światła ustępuje przed jasnością poranku. Marzenie przed myślą.

Wstaję i odmykam okno. Chłód ranny studzi mi skronie i duszę „do porządku” przyzywa. Uśmiecham się. Czyż wschód słońca nie jest całej natury uśmiechem?

Poczynam rozglądać się po świecie. Co za widok! Połowę Warszawy obejmuję wzrokiem. Miasto wydaje mi się jak olbrzymi orzeł nakrywający skrzydłami pisklęta...

Słońce wysuwa się spoza trójcy wież katedralnych. Rzeźby koscielne rysują się na ognistym tle nieba delikatnie a wyraźnie, niby biała koronka na szkarłatym adamaszku. Kominy wyglądają jak las skamieniały. Chmura dymu podlatuje nad miastem.

Czy to skowronek śpiewa? Nie, to sygnują u *Panny Maryi*. — Od chwili do chwili ostry świst przerywa powietrze. Budzą się fabryki. Kłęby białej pary, niby łabędzi stada przez błękit lecą.

Nad poziom dachów strzelają wieże kościołów i kominy fabryk. Kościół to modlitwa; fabryka to praca. Cudowne zjednoczenie! Zresztą, z pewnej odległości komin i wieża wyglądają jednakowo...

Rozglądam się dokoła, a to, co widzę, bawi mnie i uczy.

Z wdzięcznością zwracam oczy na okienko, z którego śpiew wypływa. Gdyby nie śpiew, straciłbym i rozkosz i naukę. Gdyby nie śpiew - spałbym. Biedni, którzy śpią. „Czuwajcie!”—powtarzał Chrystus.

Okienko śpiewające znajduje się wprost mojego. Dwa te okienka patrzą sobie *oko w oko*. Łączy je nić sympatyi tajemnej...

Kiedy okno sąsiadów jest otwarte (jak właśnie teraz) mogę dokładnie widzieć, co się dzieje we wnętrzu. Ci, co tam mieszkają nie robią zachodu z ukrywaniem się. Przed słońcem i spojrzeniami ludzkiemi naroścież otwierają drzwi i okno. Życie ich jest kartą odkrytą dla wszystkich. Czyż lilija obawia się słonecznej jasności?

Siadam z książką przy oknie. Radbym czytać, ale śpiew odwraca moję uwagę gdzieindziej. Oczy przenoszą się mimowoli z kart drukowanych na okienko przystrojone bluszczem. Rzucam *książkę* dla *życia*. Będęż przez to mniej wiedział? To pytanie...

W okienku stoi kobieta nie starsza nad lat dwadzieścia. Znać na niej zdrowie ciała i zdrowie duszy. O pierwszym świadczą rumiane, jak jabłko, policzki, o drugim — spokojny płomień oczu. Biały negliż zmienia ją w gołębia lub anioła — jak chcecie. Na jej głowie trzepoce się muślinowy czepeczek, z którego końcami wiater się bawi. Usta ma jak wiśnie, zęby białe i równe, szyję utoczoną.

Czy mogłaby Rafaelowi pozować do Madonny? Przenigdy. Czy Tycyjan zrobiłby z niej Astartę? Gdzie zaś!

Stoi w okienku i śpiewa. Komu śpiewa? Mężowi. Komu więcej? Dziecięciu.

Śpiewając podlewa kwiatki. Śpiewając krząta się przy kominku, na którym grzeje się śniadanie. Śpiewając całuje dziecię i nadstawia twarz mężowi.

Potym się modli. Widzę ją jak klęczy przed Chrystusem rozpiętym na krzyżu, z pochylonym czołem i założonemi rękami. Modlitwa jej krótka. Kilka westchnień nieudanych, kilka słów prośby i dziękczynienia—oto treść jej cała. Kiedy patrzę na klęczącą, duch mój leci jej śladem „na wysokość".

Myslę, że *mojej sąsiadce* winien jestem chwilę wniebowzięcia.

Od modlitwy wstaje cicha i z twarzą blasków pełną. Ale trwa to nie długo. Wkrótce oczy jej rozpłomieniają się ziemskim ogniem, a usta poczynają śmiać się.

Nakrywa stolik białą jak śnieg serwetą. Stawia na niej duży kubek i przysuwa do stołu krzesło. Znika na chwilę i wraca, niosąc w ręku dymiący dzbanuszek.

— Kubusiu! a chodźże na śniadanie!—woła udając niecierpliwość.

Widzę teraz dwoje: męża i żonę. Mąż jest to tęgi człowiek o barczystych plecach i ogorzałej twarzy, którą wąs „pokrętny" ozdabia. Ubrany jest w bluzę z niebieskiego płutna ściśniętą skórzanym pasem. Posila się zanim wyjdzie do pracy, a żona usługuje mu osładzając jedzenie pocałunkami i pieszczotą. Od chwili do chwili zamienia z nią kilka słów serdecznych. Całuje ją wreszcie ostatni raz w czoło i wychodzi.

Znam tego bluziarza. Jest robotnikiem w fabryce żelaznej. Dzielne serce! Dłoń jego grubą i spracowaną można uścisnąć bez obawy, bo jest to dłoń prostego lecz uczciwego człowieka.

Zaledwo wyszedł, moja sąsiadka zwraca się do kącika, w którym stoi kolebka nieduża. Ileż pocałunków gorących! ile śmiechu głośnego, ile słów urywanych a wymownych!— Kto zrozumi język jakim matka rozmawia z dziecięciem? Jestto język najmniej *gramatyczny* ze wszystkich. Jestto język serca.

Patrzę na tę kobietę — przypomina mi się matka moja, i—łzy mam w oczach.

Słodka chwila wzruszenia! Sąsiadko, tobie ją zawdzięczam.

Tymczasem słońce podnosi się nad dachy najwyższe. Blaski leją się strumieniami na mury, place i ulice. Miasto staje się mrowiskiem. Do uszu moich dochodzi szmer, niby morza dalekiego. Ten szmer i ciepło słoneczne poczynają mnie rozmarzać. Kładę głowę na książce, oczy przymykam. Ogarnia mnie lazzaronizm. Demon lenistwa wiąże mnie w pęta kwieciste.

Zatonąłby w bezczynie — ale w tej chwili niebezpiecznej, z okienka sąsiadki przychodzi mi pomoc. Dobywa się stamtąd głos dziwny, w którym rozróżniam turkot obracającego się kółka i miarowe sztukanie sztyfta metalowego. Dźwiękom martwym towarzyszy śpiew. Cichszy jest przecie i mniej wesoły niż rankiem.

Sąsiadka pracuje.

Podnoszę oczy. Między festonami bluszczów widzę ją, jak siedzi pochylona nad maszyną do szycia. Biały negliż zrzuciła. Ubrana jest teraz w sukienkę perkalikową, koloru nieba wiosennego. Sukienka ta jest bez żadnych ozdób: gładka i zachwycająca. Stanik zapięty wysoko odznacza wyraźnie półokrągłe kontury piersi i ramion. Szyję ubiera biały kołnierzyk i kokarda z zielonej wstęgi. We włosach płoni się kwiatek. Tuż przy niej stoi kolebka a w niej różowy malec hałasuje.

Patrzę na ten obraz — i znagła poczynam wstydzić się bezczynności mojej. W turkocie maszyny słyszę głos wyrzucający mi lenistwo. Cofam się od okna i siadam przy stole zarzuconym książkami. Po chwili zapominam o tym, co mnie otacza. Pracuję.

Święta ideo pracy! Ty zapewniasz szczęście jednostce i dobrobyt społeczeństwu. Bez ciebie wszelka myśl wzniosła schodzi bezpłodnie. Jesteś razem karą i błogosławieństwem. Dajesz sen spokojny i poczciwe czuwanie. Ciebie sam Bóg w serca ludzkie wszczepił, a szatan ciebie się lęka, gdyż walczysz z nim zwycięzko.

Święta ideo pracy! tyś przyszła do mnie z okienka sąsiadki...

Gdy w ciągu dnia zdarzy mi się spojrzeć naprzeciwko, widzę zawsze moję sąsiadkę zajętą czemś pilnie. Raz, krząta się koło obiadu z zatoczonemi rękawami i w białym fartuszku zakrywającym piersi i cały przód sukni. To znów zamiata pokoik, nad oknem wiesza czyste firanki i odmienia wodę w słoiku z ablegrami. Czasami rozpościera świeżo upraną bieliznę na sznurze rozciągniętym przez pokój. Niekiedy czyta.

Pewnego razu widziałem jak weszła do niej biedna jakaś kobieta z dziecięciem półnagim i z prożbą o jałmużnę. Spostrzegłszy ją, sięgnęła bez namysłu po woreczek z pieniędzmi. Ale nieszczęściem woreczek był próżny. Zakłopotało ją to wielce, zrobiła się smutna i zamyślona. Nagle wstała, otworzyła szafkę z bielizną dziecka, wydostała z niej sukienkę i dała matce nagiego niemowlęcia.

Potym słyszałem jak mówiła do siebie:

— Mój chłopiec ma aż dwie sukienki. Dobrze więc że się podzielił niemi z tym, który nie ma ani jednej.

Potem, żeby zapełnić tę szczerbę w wydatkach, pracowała przez dni kilka po dwie godziny dłużej.

Przyznam się wam otwarcie, że do dawania jałmużny nie jestem zbyt skory. Obawiam się zawsze, żebym zamiast wesprzeć nędzarza nie dopomógł nędznikowi. Tego dnia jednak, pierwszemu spotkanemu na ulicy dziadowi oddałem połowę moich pieniędzy. Powinien był za to podziękować sąsiadce mojej...

Jeśli zdarzy się, że wieczorem siedzę u okna, widzę rzecz piękną i uroczystą. W okienku naprzeciwko rozgrywa się jedna z tych scen, które Bóg niby kwiaty wplata w szare pasmo życia ludzkiego. Zespolona świętym węzłem miłości zbiera się tam rodzina.

Jest to chwila wypoczynku. Mąż powrócił od pracy głodny widoku i pieszczoty najdroższych sobie istot. Żona siedzi tuż przy nim i trzyma dziecię na kolanach.

Jest to chwila miłości. Słychać tłumione pytania i odpowiedzi, słychać melodyjny szmer pocałunków.

Obłoki błyszczą gwiazd milijonem. Cicha i tajemnicy pełna otchłań nieba drży miłośnie, pochylając się nad dachem ubogiej izdebki. W błękicie słychać szelest anielskich skrzydeł.

Niewidzialna dłoń Jehowy błogosławi gniazdko, w którym mieszka praca, miłość i niewinność. Podnosi się nad głowami mężczyzny, kobiety i dziecięcia zlanych w mistyczną trójcę, kamień węgielny ludzkości.

Patrzę na to, i czuję, jak myśli moje robią się białe, jak uczucia moje skrzydeł dostają...

Zasypiam, i widzę niebo. Niebem jest dom i rodzina.

Rozkoszne sny! anielskie marzenia!

Sąsiadko moja, tobie je zawdzięczam.

Wiktor Gomulicki.

Rozmaitości.

Mamy przed sobą sprawozdanie z czynności wydziału zarządzającego Czytelnią Akademicką Krakowską za letnie półrocze 1872 roku. Przedmowa umieszczona na wstępie broszurki przykre bardzo robi wrażenie. Oto jej dosłowny początek:

„Sześć lat upłynęło od czasu jak młodzież akademicka krakowska uczuła potrzebę instytucyi, któraby popierała jej interesa, stała się wyrazem jej dążności jak również ogniskiem około którego skupiały się wszystkie jej siły umysłowe."

Założyciele czytelni byli przekonani że instytucyję tę spotka ze strony młodzieży najserdeczniejsze przyjęcie, a dziś po sześciu latach istnienia ze smutkiem wyrazić musimy że były to tylko poczęści marzenia" i dalej: „przyczyną tego jest dziwna ze strony większej części młodzieży obojętność, jaka *na każdym kroku* spotyka naszę instytucyję." Słowa te same mówią za siebie i nic też dodać do nich nie możemy — chyba że o młodzieży krakowskiej widocznie niezasłużenie pochlebne mielśmy dotąd wyobrażenie. Czyżby nad Galilejską prowincyją bogowie światła, nieodwołalną klątwę wyrzekli?...

„Czytelnia w ubiegłem półroczu liczyła 132 członków." Szkoda że sprawozdawcy obok tej cyfry nie zamieścili ogólnej liczby kształcących się w Jagielońskiej Wszechnicy bo to zestawienie cyfr najlepiej by tu mówiło.—Odczytów było 7, mianowicie:

1. O wpływie położenia geograficznego na charakter narodów, na cywilizacyją i w ogóle na dzieje—przez *Władysława Nałkowskiego.* —2. Pogląd krytyczny na dzieło Drapera p. t. „Historyja rozwoju umysłowego Europy" przez *Józefa Łętowskiego.* — 3. Okonstytucyi 1791 r. p. *Józefa Rozenbluta* — 4. Oktawijan August p. *Szydłowskiego* — 5. Instynkt i rozum p. *Teofila Prochazkę.* — 6. Z przeszłości p. *Stanisława Grudzińskiego* i — 7. Hrabiowie w Polsce p. *Bartoszewicza.* Biblijoteka posiada dzieł 1523 w 2305 tomach—ale że z liczby tej potrzeba odjąć te dzieła wypożyczone, które już prawdopodobnie powrócone nie będą —a które od założenia czytelni po dziś dzień wynoszą dzieł 195 w 243 tomach — rzeczywiście więc biblioteka liczy dzieł 1328 w 2062 tomach. — Oprócz tego posiadała czytelnia 82 czasopisma różnej treści między któremi polskich 61, rosyjskich 1, niemieckich 19 i 1 francuskie—dostarczone bądź bezpłatnie bądź za opłatą zniżoną przez właściwe Redakcyjo. — Co do stanu kasy to

dochody wynosiły	297 złr.	97½	cent.
wydatki . . .	278 .	22 .	.
Pozostało więc zwyżki	18 złr.	75½	cent.

fundusz zaś żelazny wynosi złr. 79 cent. 34. Sprawozdanie kończy się wezwaniem do lepszego zainteresowania się instytucyją — do wykazania czynem że *„poczucie solidarności pomiędzy młodzieżą naszą nietylko istnieje ale owszem świetnie wkrótce zakwitnie na gruntach obojętności i egoizmu."*

Od Redakcyi.

Odpowiadając na reklamacyje niektórych prenumeratorów, utrzymujących że pewna liczba numerów nie doszła ich z poczty, czujemy się w obowiązku oświadczyć, że z Redakcyi wszystkie numera jak najregularniej są wysyłane, że więc nieporządki nie z naszej winy pochodzące, uwzględniać będziemy w takim tylko razie, jeśli reklamacyja uczynioną będzie nie później jak we dwa tygodnie po wyjściu numeru.

Дозволено Цензурою. — W drukarni Jana Jaworskiego. Warszawa, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Wydawcy, Henryk Perzyński. Wacław Szaniawski. Redaktor, Henryk Perzyński.